Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 16

Stanisław Krakowianin

mnich-artysta z XVI wieku

Początek szesnastego wieku przynosi w Polsce świetny rozkwit malarstwa minjaturowego. Rozkwitu tego nie zdoła zahamować ani druk, ani drzeworytnictwo. Zmieniły się bowiem stosunki: minjatura, dotychczas ograniczona do ksiąg liturgicznych, znajduje obecnie znacznie szersze zastosowanie.

W epoce renesansu bowiem wzrasta silnie zainteresowanie się sztuką wśród ludzi świeckich. Za przykładem króla idą dworzanie, dostojnicy, magnaci. Wspaniale iluminowane modlitewniki stają się poprostu klejnotem wyżej cenionym i bardziej poszukiwanym, niż to było w średniowieczu.

Powstaje tedy cały szereg dzieł, nietylko posiadających wysoką wartość artystyczną, ale niekiedy i będących bezcennemi dokumentami życia kulturalnego i obyczajów ówczesnej epoki.

Minjatury z tego czasu wykazują bardzo wyraźny wpływ malarstwa flamandzkiego, włoskiego i niemieckiego. Jest to zresztą rzeczą zupełnie zrozumiałą, skoro uprzytomnimy sobie, że liczni dostojnicy kościelni przywozili ze swych podróży lub sprowadzali z zagranicy rozmaite księgi liturgiczne, ozdobione minjaturami pierwszorzędnych mistrzów.

Wpływy te znalazły najpełniejszy i najbardziej artystyczny wyraz w dziełach minjaturzystów krakowskich.

Wśród tych ostatnich wybija się na pierwszy plan *Stanisław Krakowianin*, indywidualność wybitna, a należycie niedoceniana.

* * *

Nie wiele mamy szczegółów o jego życiu. Urodził się przypuszczalnie około roku 1476, umarł około r. 1540. Pierwszem jego, znanem nam dziełem był graduał, fundowany dla Katedry krakowskiej przez Jana Olbrachta. Pracą tą zwrócił na siebie uwagę Erazma Ciołka, męża wyjątkowo wykształconego i doskonałego znawcy sztuki. W towarzystwie też Ciołka wyjeżdżał Stanisław do Włoch celem zapoznania się z tamtejszą sztuką i pogłębienia swych znajomości.

Po powrocie do kraju osiada w klasztorze Cystersów w Mogile pod Krakowem, gdzie w zaciszu oddaje się swej ulubionej pracy. Biskup Tomicki w listach swych nazywa go *Frater Stanislaus de Mogila*, — co dowodzi, że był on księdzem, — a przypuszczalnie później został i przeorem. Kronika bowiem mogilska wspomina o przeorze Stanisławie, który potem powołany został na opata szczyrzyckiego.

O polskiem pochodzeniu Stanisława Krakowianina świadczą jego własnoręczne notatki w polskim języku, zamieszczone we wspomnianym graduale Jana Olbrachta. Piękny też dowód swego patrjotyzmu złożył, ofiarowując Zygmuntowi I. własnoręcznie iluminowany modlitewnik, w hołdzie za zwycięstwa nad Moskwą i Tatarami. A ofiarował go bezinteresownie i bezimiennie, nie chcąc zdradzać swego nazwiska.

Modlitewnik ten, oznaczony jego zwykłym monogramem S. C., przeszedł następnie w posiadanie rodu Sobieskich, skąd znów, dzięki małżeństwu Marji Klementyny dostał się do rodziny Stuartów, by wreszcie powiększyć zbiory „British Muzeum", które zakupiło go z rąk prywatnych za 74 funty szterlingów. Istne to cacko iluminatorskiej sztuki nie stanowi jednak korony bogatej twórczości Stanisława

* * *

Nas interesują więcej dwa jego wcześniejsze, najlepsze i najciekawsze dzieła. Są to: *kodeks Baltazara Behema* znajdujący się dziś w Bibljotece Jagiellońskiej, oraz *pontyfikał Erazma Ciołka*, przechowywany w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Kto był autorem pięknych 27 minjatur, zdobiących kodeks Baltazara Behema, — jest rzeczą sporną. Zdaniem znakomitego znawcy sztuki, prof. F. Kopery, był nim właśnie Stanisław Krakowianin. Wskazuje na to przedewszystkiem imię „*Stanislaus*", umieszczone wyraźnie w minjaturze przedstawiającej ludwisarzy, — wskazuje ponadto sposób ujęcia tematów, przed stawiający duże analogje z poprzednim jego dziełem, graduałem Jana Olbrachta.

Kodeks Behema, — to jedyne dzieło Stanisława, w którem — poza minjaturą tytułową, przedstawiającą ukrzyżowanie Chrystusa, — wszystkie inne mają charakter zupełnie świecki. Przedstawia w nich artysta sceny z życia rozmaitych cechów (piekarzy, krawców, złotników, ludwisarzy, szewców, malarzy itd.). Wszystko oddane z realizmem, pełnym życia, składa się na dokładny i wierny obraz współczesnego życia, co dodaje mu tem większej wartości nietylko artystycznej, ale i historyczno - obyczajowej.

Czysto religijny charakter natomiast posiada pontyfikał Erazma Ciołka, dzieło powstałe w pierwszych latach XVI wieku (przypuszczalnie przed rokiem 1503). Zgodnie z samym tekstem przedstawia tu Stanisław rozmaite uroczystości kościelne; na czele wielka minjatura wyobrażająca Chrystusa na krzyżu, — przyczem figury klęczącej Magdaleny i św. Jana odziane są we współczesne bogate stroje.

We wszystkich minjaturach świetny koloryt, doskonała, bogata ornamentyka, w której przebija się pogoda, humor, fantazja, niekiedy niemal groteskowa.

Prawdziwe to arcydzieła sztuki minjaturowej, jakim równych napróżno byśmy szukali w tym okresie w całej Polsce.

* * *

Twórczością Stanisława Krakowianina zainteresował się wkrótce dwór królewski, który też daje mu dużo zatrudnienia.

Poza wspomnianym już modlitewnikiem Zygmunta I. wykonał Stanisław *modlitewnik królowej Bony* (znajdujący się obecnie w Bibljotece Bodlejańskiej), ozdobiony pięknemi arabeskami, herbami państwa i rodziny Sforzów. Zawiera on minjatury na tematy religijne, dużo jest w nich jednak i dodatków świeckich.

W ślad za dworem królewskim szli również dostojnicy kościelni i świeccy. Tak więc wykonuje Stanisław dla biskupa *Tomickiego „Poczet gnieźnieńskich arcybiskupów i żywoty Krakowskich biskupów"*, dalej *„Ewangeljarz"* (znajdujący się w archiwum Kapituły krakowskiej) i wreszcie *„Pontyfikał"*.

Wspomnieć też jeszcze trzeba o *Mszale Erazma Ciołka*, dziele nienajlepszem może, na którem widoczny jest wpływ Wita Stowsza.

Gorliwego też protektora znalazł Stanisław w osobie kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego, wielkiego miłośnika sztuki.



Albrecht Dürer: Wieczerza Pańska.

Dla niego to ukończył w roku 1532 kodeks, opisujący dzieje rodu Szydłowieckich: *„Liber geneseos illustrissimae familiae Schiaoloviciae“*, a przechowywany w bibljotece Kórnickiej. W tym wypadku szło o przedstawienie splendoru starego rodu magnackiego. Dlatego rysunki odznaczają się wyjątkową ozdobnością i barwnością, — natomiast słabsze są pod względem artystycznym.

Większą wartość przedstawia *modlitewnik Szydłowieckiego*, znajdujący się obecnie w medjolańskiej „Ambrosianie“. Piękne, urozmaicone obramienia, w duchu renesansu, — postaci pełne życia i ruchu.

Prawdopodobnie też dziełem Stanisława jest ornament, zdobiący Przywilej dla kościoła w Opatowie, z portretem klęczącego kanclerza.

* * *

Nie na tem jednak koniec płodnej, a wszechstronnej działalności artystycznej Stanisława. Jak to było powszechnie praktykowane, tworzy on koło siebie całą szkołę, w której pod jego kierunkiem i okiem pracowali inni artyści. Współpracę tę wyczuwa się w niektórych jego dziełach, wykazujących partje znacznie lepsze i gorsze.

Z tego też warsztatu wyszły freski w klasztorze Cystersów w Mogile, zachowane do dziś zaledwie w drobnych fragmentach.

Pozatem dostarczał Stanisław Krakowianin rysunków do dzieł przemysłu artystycznego, a rysunki te przesyłano do wykonania nawet do Norymbergji.

Jak z powyższego wynika, był zatem Stanisław Krakowianin jednostką bardzo utalentowaną i wszechstronną, zajmującą poczesne miejsce wśród miniaturzystów polskich XVI wieku, — jednostka, która dotąd nie doczekała się obszernej wyczerpującej monografji.

(R.)

Klaudynki jako wzór Polek

w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia

Wśród wysiłków i wyzwoleńczych walk o wolność, szczególnie w dobie powstania styczniowego, chlubnie zapisały się w pamięci polskiego społeczeństwa w b. Galicji, kobiety-Polki, wśród nich zaś mało ogółowi znane, lub dziś już zapomniane — Klaudynki... Im też pragniemy poświęcić w tem miejscu parę słów, zaczerpniętych z ustnego opowiadania, jak również cennej pracy ostatniej z żyjących we Lwowie Klaudynek, p. Zofji Romanowiczówny.

Głośno było o nich niegdyś przed laty!

Nie było w Galicji domu polskiego, gdzieby o nich pocichu nie mówiono, nie było wiejskiej chaty, gdzieby z miłością nie wspominano, ani szkoły w którejby z ich pomocy nie korzystano! Kim więc były? Jaką była ich działalność, dzieje i jaki wkońcu spotkał je los?

Było to na parę lat przed wybuchem powstania — mniejwięcej 75 lat temu — gdy trzy młodziutkie wychowanki znanego lwowskiego zakładu Felicji Wasilewskiej: Wandzia Dybowska (lat 15-cie, zamężna Longchamps), Julcia Dzierżanowska (lat 16-cie, zamężna Malczewska) i Zosia Romanowiczówna (lat 15-cie), wiedzione gorącą miłością Ojczyzny utworzyły tajne „Stowarzyszenie imienia Klaudji Potockiej“. — Zobowiązywały się oto do nieustannej pracy nad ludem, nad sobą i otoczeniem, do wspólnych modlitw za Ojczyznę, pielęgnowania języka polskiego i obyczajów, zaszczepiania uczuć patrjotycznych, przyczem za ważny punkt statutu uznały ten, że „żadnej nie wolno poślubić Niemca, ani Moskala“, względnie nawet „żadnego cudzoziemca, ani wojskowego“. — Za patronkę obrały sobie Klaudynki, znaną i przez Emigrację polistopadową uwielbianą „naszą świętą polską“ Klaudję z Działyńskich Potocką, za godło zaś i znak, po którym poznawały się nieznane sobie i po całej Galicji rozrzucone Klaudynki malutki, czarny, żelazny krzyżyk, noszony wysoko na szyi, a słowo dane na dochowanie ścisłej tajemnicy zastępowało przysięgę.

Praca ich, dyktowana najprawdziwszym popędem serca i najszlachetniejszym idealizmem pozostałaby może długi czas cichą, ofiarną i bezimienną (o! bo Klaudynki umiały tajemnic dochować!), a może wkońcu, upadłaby zupełnie, gdyby tajemnicy Stowarzyszenia nie odkryła przypadkowo p. Felicja Wasilewska, znajdując w książeczce do modlenia jednej z Klaudynek, złożony w kilkoro statut! Od tej przełomowej chwili Klaudynki nabierają znaczenia w całej Galicji, a kierowane ręką znakomitej Wychowawczyni i patrjotki, przynoszą krajowi wielkie usługi. Pracują we wszystkich niemal miasteczkach b. Galicji i wielu wioskach, budząc wśród ludu ducha narodowego i zamiłowanie do nauki dziejów, literatury i języka ojczystego, zakładają bezpłatne czytelnie, prowadzą kursa, starają się o fundusze stypendjalne dla ubogich chłopców wiejskich, gromadzą młodzież rzemieślniczą na czytanie, pracują wśród klasy służebnej! Lecz nie na cichej, apostolskiej pracy kończy się ich posłannictwo! Klaudynki wszędzie szły przodem! Zachęcały do pracy, urządzały religijno-patrjotyczne nabożeństwa, przygotowywały manifestacje, rozdawały tłumom pieśni patrjotyczne, zbierały składki, organizowały pocztę dla tajnych przesyłek, a kiedy na ulicach Warszawy padło pięciu poległych, one pierwsze w Galicji przywdziały żałobę narodową i przez pięć lat w niej trwały! — Toteż, kiedy wybucha powstanie, Klaudynki, mając za sobą tak chlubne owoce swej działalności, zyskują w pełni zaufanie społeczeństwa. Z ich też grona wyłania się Komitet niesienia pomocy powstańcom z Leonją Wildową na czele, jedna zaś z Klaudynek, a była nią żyjąca obecnie we Lwowie Zofja Romanowiczówna, prześliczną odezwą: „Do Polaków i Polek na wieść o powstaniu“, poruszyła wszystkie umysły i wielu natchnęła do świętej walki o wolność! Tymczasem Klaudynki nie ustają w pracy. Z upoważnienia Rządu Narodowego zbierają na listy opatrzone pieczęcią: „Boże dopomóż!“, pieniądze na broń, leją kule, robią naboje, skubią szarpie, sporządzają opatrunki, szyją bieliznę, gromadzą żywność, pielęgnują rannych i chorych, prowadzą tajną korespondencję z więźniami, ułatwiając ucieczkę tym, którym groziło długoletnie więzienie, Sybir, katorga lub śmierć, wydają w więzieniach obiady i spełniają wiele innych prac i zadań ciężkich i niebezpiecznych, a zawsze ofiarnie i z myślą o Sprawie. — Wiele z nich swoje bezgraniczne poświęcenie przypłaciło chorobą i więzieniem. — Toteż najmilszą będzie im nagrodą uznanie Rządu Narodowego, który w takich oto słowach podkreśla niedwuznacznie ogrom ich ofiary: „Niewiasty Polskie! Do tej wielkiej, świętej, bohaterskiej walki Narodu, Wy zdołałyście przynieść coś więcej jeszcze nad łzy i modlitwy. Rząd Narodowy dziękuje Wam za to. Wyście dowiodły światu, że prawo calickie nie rządzi ofiarą, a on odpowiadając, że ono i dziedzictwem chwały i... włada, zalicza Was w szeregi dobrze sprawie ojczystej służące!...“



Julja Dzierżanowska, Zofja Romanowiczówna, Wanda Dybowska

Spełniły zatem Klaudynki swój dobrze w latach sześćdziesiątych zrozumiany obowiązek! A trzy młodziutkie założycielki Stowarzyszenia: Wandzia, Julcia i Zosia w czasie powstania panienki już pełni sił, mogły być dumne, że ich „tajne“ Stowarzyszenie tak piękny zdało egzamin w chwili dla Ojczyzny najcięższej i największych wymagającej ofiar!

Po upadku powstania Klaudynki, jako Stowarzyszenie zamierają, lecz w pracy nad ludem i sobą nie ustają, snując nową, złotą, przetykaną łzami, nić marzeń o nowym wyzwoleńczym czynie. — Odrodzą się w 1868 pod nazwą „Stowarzyszenie Czynnych Polek“ — złożą nawet krajowi parę cennych ofiar swej pracy (Fundusz na sieroty po dyktatorze powstania Romualdzie Traugucie, Składka na szkołę Batignolską!) i — umilkną znowu — Później raz jeszcze, w czasie wojny tureckiej w 1877 — wskrzeszą dawne Klaudynki „Kółko Serdecznych Polek“, które przetrwa znacznie dłużej i równie pięknemi zabłyśnie czynami (pomoc Bankowi Poznańskiemu w wykupywaniu ziemi, w czasie rugów pruskich, akcja na rzecz głodnych w czasie klęski głodu w Galicji!) — i również skończy swój żywot w r. 1900-ym, przekazując fundusz zebrany na chwilę powstania — na Skarb Narodowy w Rapperswylu.

Tak skończy się złota baśń dziewczęcego serca!

Składając dziś hołd szlachetnemu porywowi Klaudynek, tworzących w narodowej legendzie najcudniejszą kartę wspomnień, pragniemy nowemu pokoleniu Bojowniczek stawić przed oczy ów najpiękniejszy wzór cichej, nieznanej, lecz jakże owocnej pracy i poświęcenia i natchnąć je tym samym, choć wśród innych warunków, lecz równie koniecznym świętym zapałem dla Sprawy narodowej!

TADEUSZ GRYF-KLESZCZYŃSKI.

Juhasowe baje

...Kiej ciek — wicie — ino w górak siedzi, a do miasta dałekom ma drogę, to ta nierad w niedziele do kościoła idzie. Dei i tak sie mu widzi, co haw z turni krótsiejsa do nieba droga — jako z dołu, z miasta, ka piekny kościółecek stoi...

No to i beł — wicie — taki jeden baca, co od krztu świętego raz ino w kościele beł, kiej to z babom swojom ślub brał.

A w niedziele, kiej ino kurniawy abo halnego nie beło, to ku turniom seł, na szczity, ba hawok se z Panbóckiem gadał.

Nie zbijał, nie krod — wicie — z ludziskami sie nie swarzeł, to i grzychu ni mioł, lekko se żył i Pana Boga kwalel — jako i umioł.

Nale raz baba jego — jakosić to beło na kwietną niedziele — sama w mieście beła i z inksemi babami — jak to — wicie — z babami zawżdy bywa — ukwaliła, co swego chłopa do kościółecka, do miasta doprowadzić trza, coby się Ponjezusowi pokłonieł, a wyspowiadał. Nie kciał chłop iść, nale baba pokoju mu nie dała, ba ino gadała: „Idź, ba idź“. „Pcrytas Ponjezusa o łaske, to ci wej dopomoże“

„Pytałek Jezusicka“ — gadał baca — „nie roz i nie dwa coby mi pomóg, nale do tera mi nie pomógł Dej i na co mi do kościoła iść“.

Nale poseł — dej baba nastawała.

Beło to jakosić w Wielki Tydzień. Ludzisków w kościółecku ćma, a ksiądz — wicie — pieknie prawili jako to i z Jezusickiem beło, jako go zydy w sam Wielki Piątek ukrzizowały. Luto sie chłopu zrobiło i żol. A kiej se wspomnieł, co to zydy — zło krew — Ponjezusa na krziż święty przybili, to inok zębiskami zgrzitel a w garście ciupazke ściskał.

No i co sie nie dzieje.

Wracajęcy z kościoła za miastem zydów uwidzioł. Trzok ik beło! Złość go — wicie — okrutna wziena. Prziskocel do nik i przepytuje: Bezcoście Jezusika ubili? I dalej ik prać... Żydy w krzik i... w nogi... Hi... hi... hi... Takie ci to bojące sie som te zydy! Trzok ik beło — a przed jednym uciekali...

Nale jednego z nik dogonił, ucapił i prał — wicie — aze zyd zipieć ustał.

Przişzli pote ziandarmy i bace do Nowego Targu przywiedli... do sądu...

Przepytuje go taki sędzia, bez cóż to zyda bieł?

„A bez cóz to Ponjezusa ukrzizował? Coz to mu Ponjezus — biedacyna zrobieł?“

A sędzia na to gada: „Bójcie sie Boga chłopie, jedyć to nie on Jezusa ukrzizował, jeno jego poprzedniki...“

„Ba“ — prawi baca — „kiebyk o tem wiedzieł! A dyć te jego poprzedniki — złokrew — lepsiejse nogi mieli i warcicko uciekli, a ino tego zgonilek!... Niekta! Widzi mi sie, co ik ta jesce kie najdem!“ —

— — — — — — —

Nale ik jus nie najseł, bo go — wicie — w hareście zamkneni. Haj!

OR-HA

Car Mikołaj II. w Przemyślu

Przemyśl padł [illegible] 1915 roku, a pierwsze oddziały rosyjskie, weszły do zniszczonej twierdzy, tego dnia o godzinie 7 rano, od strony Krasiczyna. Jedyny „łup“ zwycięzców stanowiło 120.000 ludzi zgłodniałej i dziesiątkowanej chorobami załogi. Mieszkańców pozostało na czas oblężenia niespełna 30.000, a i ta reszta naczytawszy się w biuletynach austrjackich wiadomości o okrucieństwach kozackich, oczekiwała wojsk nowego zaborcy, z trwogą i rezerwą. Początki jednak były wcale dobre. Tuż bowiem za oddziałami, miasto zaroiło się od setek wozów z żywniocią, zawczasu przy gotowaną przez rosyjskich kupców. Dość silny c. k. patrjotyzm i oficjalny smutek spowodowany upadkiem cesarskiej twierdzy, przysypany został momentalnie tonami niewidzianej od tygodni mąki, rosyjskiego cukru i ryb. Żywiołowa chęć zaspokojenia głodu, okazała się silniejszą od tęsknoty za czarno - żółtą „faną“.

Miasto przedstawiało też w tych pierwszych dniach panowania moskiewskiego, dość dziwny wygląd. Z jednej strony przewalały się od rogatek, do rogatek, tysiące i dziesiątki tysięcy różnorodnych wojsk ogromnego imperjum carskiego, a ze strony drugiej, wszyscy mieszkańcy tłoczyli się koło setek wozów, rosyjskich przekupniów. Ruch był tem większy, że z powodu zupełnego zastoju gospodarczego w oblężonem mieście, każdy posiadał sporo przymusowo zaoszczędzonej gotówki.

Nie doszło też do żadnej masakry ludności. Okupacja miała potrwać zaledwie do 3 czerwca, czyli cały wysiłek organizacyjny „zwycięzców“, skierowany być musiał na wyekspedjowanie w głąb Rosji olbrzymiej załogi.

Zaledwie z grubsza problem ten rozwiązano, kiedy po mieście rozniosła się wieść, że Przemyśl „zaszczyci“ swą wizytą sam car Mikołaj II. Za pogłoskami poszły dalsze symptomatyczne znaki. Noc w noc odbywały się we wszystkich niemal domach rewizje. Zrazu szukano ukrytych c. k. obrońców, którym nie było spieszno „w plen“, później broni i amunicji, a na końcu, urządzono sobie z rewizji sport, który stawał się coraz mniej przerażający.

Nie wszyscy jednak mieszkańcy uszli cało. Pewnego ranka, aresztowano zasłużonego obywatela i dobrego Polaka, posła Hugona Królikowskiego. Trudno było dociec, za co spotkał go los niewolnika. Krążyły tylko głuche, ale jak się potem okazało oszczercze wersje, że aresztowany zapomocą telefonu ukrytego w piwnicy miał się porozumiewać z Austrjakami.

Padł poprostu Królikowski ofiarą denuncjacji. Bez rozprawy skazany został na wywiezienie w głąb Rosji. Skazany na „wywiezienie“, ale gnano go piechotą. Gdzieś za Mościskami przeszło 60-letni starzec ustał w drodze i kozacy, aby się nim dalej nie kłopotać, całkiem poprostu dopełnili resztek jego dni... kulą i nahajami. Niewiadomo nawet, w którem miejscu grób znalazł.

Naogół jednak obyło się bez większej ilości trupów. W każdym razie, nawet najdziksze oddziały z dalekich stepów, nie dorównały „królewskim“ honwedom, którzy u wrót oblężenia wymordowali na ul. Dworskiego kilkudziesięciu „moskalofilów“, przyczem też upozorowano nieudałą próbą ucieczki, ze strony jednego z prowadzonych.

Ale wróćmy do cara. Skoro rewizje i parę egzekucyj oczyściło atmosferę na lojalną, jeśli już nie na przepojoną wiernopoddańczem oddaniem, przyszła kolej na... żydów. Komenda miasta uznała snać, że byłoby przykro carowi patrzeć na ulice oblepione chałatami i wydała polecenie, aby w przeciągu trzech dni, „naród wybrany“, obrał sobie inny przytułek. Rozpoczął się rejwach. Próbowano pertraktacyj, żebrano o czynienie wyjątków. Wszystko naprożno. I tak dzięki carowi, Przemyśl przeżył piękny krótki sen. Bez komplikacyj, bez barbarzyńskich gwałtów, bez ceregieli wkońcu, 30 procent „obywateli“ poszło za rogatki. Niedługo wróciło, ale nie da się z dziejów miasta wymazać tych paru jasnych dni, które dla Rosjan były może dowcipem, ale dla polskiego miasta, chwilami radosnemi.

23 kwietnia od strony Lwowa, nadjechały pierwsze auta, ze świtą cesarską. Mikołaja II witały szpalery wojsk ustawione wzdłuż wszystkiech ulic, oraz nieco młodzieży szkolnej. Starszych mieszkańców nie było prawie widać, tylko gdzieniegdzie z poza firanek, wyzierał jakiś odważniejszy rodak, który zamało miał siły, aby zejść na dół, a za dużo ciekawości, aby nie odsunąć firanki. Wszystkie okna w myśl odpowiedniego zarządzenia, miały być szczelnie zamknięte. Wśród „entuzjazmu“ szpalerów wojskowych Mikołaj II, przejechał w dość szybkiem tempie miasto i udał się na zwiedzanie zniszczonych fortów. W Przemyślu pozostał do rana następnego dnia i tyle go więcej miasto widziało. Jak na ironję, umieszczono go w willi bogatego żydowskiego przemysłowca.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym „żarcie“ kozackim. Kiedy przed przybyciem Mikołaja, oczyszczano skrupulatnie ulice i place, to biada było inteligentowi, który właśnie koło takiego miejsca przechodził. Zaraz go zatrzymywano i często po kilka godzin musiał się parać z miotłą, czy rydlem. Nie ominął ten los nikogo. Ani księży, ani adwokatów, czy kupców. Omijał tylko każdego, kogo legitymowały łachmany, lub ubiór robotnika. Po „wysokiej“ wizycie atmosfera uległa odprężeniu. Rewizyj było coraz mniej, gdzieniegdzie „zakwitały“ z powrotem chałaty, a zaborca czynił różne usiłowania, aby mieszkańców, zbliżyć do matki - Rosji.

Fortuna toczy się jednak kołem. Gdzieś od połowy maja, wojska austro-niemieckie, zaczęły naciskać „zdobywców“ twierdzy. Przemyśl przeżył trzecie oblężenie. Niezupełne coprawda, bo droga na Lwów, stale była otwarta, ale za to groźniejsze, niż dwa poprzednie, bo odznaczające się silnem natężeniem walki, rozgorzałej na zwaliskach „dumnych“ fortów. Teraz na zmianę ukazywały się na firmamencie samoloty cesarskie, a grube Berty biły w te miejsca, które podczas poprzednich oblężeń zajmowały ich rodzone siostry. W związku z załamaniem się linij rosyjskich pod Gorlicami i wogóle zwycęską ofensywą „sprzymierzonych“ na całym froncie, dni rosyjskiego panowania w Przemyślu, szybko się kończyły.

3 czerwca 1915 rano w Boże Ciało, ostatni oddziałek moskiewski, wycofał się w popłochu z miasta, a od strony znów Krasiczyna, pokazały się pikielhauby. Stary polski gród po zaborcy austrjackim i rosyjskim miał się zetknąć z kolei z Niemcami. Ale ci weszli do miasta „grzecznie“ jak na sprzymierzeńców przystało. Towarzyszył im rejwach zachwyconych żydów i obojętność ludności polskiej, która z pewną melancholja cytowała zaimprowizowany dwuwiersz:

„Mikołaju Mikołajewiczu, cóż ci się stało,
Żeś z Przemyśla uciekł w samo Boże Ciało“.

Włodzimierz Bilan.

Handel żywym towarem w XVII wieku

Wiek szesnasty i siedemnasty, to okres najświetniejszego rozkwitu mieszczaństwa lwowskiego. Złotemi głoskami zapisały się nazwiska Boimów, Domagaliczów, Alembeków, Kampianów, Korniaktów i tylu innych prawdziwych patrycjuszy, co uczciwą pracą całego życia dorabiali się fortuny, by następnie fundować kaplice, kościoły, dbać o podniesienie oświaty i kultury, a w razie potrzeby zasłaniać umiłowane miasto własnemi piersiami.

Byli między nimi Polacy z krwi i kości, — byli i cudzoziemcy, Niemcy, Włosi, Ormianie, Grecy... Dziwną jednak posiadał ówczesny Lwów siłę przyciągającą: ci wszyscy cudzoziemcy, co przybywali do Lwowa za interesami, tak sobie wkrótce upodobali to miasto, że pozostawali w niem na stałe, polonizując się zupełnie już w pierwszem lub drugiem pokoleniu.

Czy to będzie Niemiec Alnpeck (Alembek), czy Węgier Boim, czy Grek Korniakt, — każdy z nich staje się i czuje wewnętrznie Polakiem, — każdy służy rzetelnie i szczerze swej nowej ojczyźnie, w niczem ani jej ani stanowi mieszczańskiemu nigdy despektu nie przynosząc.

* * *

Z pośród trzech „nacyj“, jakie w onych czasach istniały we Lwowie: Polaków, Ormian i Rusinów, tylko ci ostatni w niczem nie przyczynili się do podniesienia splendoru miasta. Politycznie niepewni (co przyznaje wyraźnie Samuel Kuszewicz w swych pamiętnikach[1]), w stosunku do władz miejskich stale w opozycji, nie potrafili się zdobyć na jedność i zgodę nawet w łonie własnej społeczności. Ciągłe waśnie, procesy, inwektywy, denuncjacje, sprawiają niemało kłopotów rajcom miejskim, jak o tem świadczą liczne akta, opatrzone charakterystycznym nagłówkiem: *„Ruteni inter se“*.

Naprożno też szukalibyśmy wśród wybitniejszych patrycjuszy lwowskich z XVI i XVII wieku nazwiska jakiegoś Rusina. Te, które nam historja przekazała, nie wiele przynoszą zaszczytu całej „nacji“.

Czysto ruską była rodzina Strzeleckich alias Krasowskich. Dwaj bracia Strzeleccy, Andrzej i Roman, bogaci i ruchliwi kupcy lwowscy, zdobyli sobie opinję zawodowych pieniaczy. Robili doskonałe interesy, — ale to im widocznie nie wystarczało: puszczają się na... fabrykację pieniędzy, z czego wynika przykry proces, zakończony skazaniem ich na sto grzywien i dwa tygodnie więzienia. Działo się to w roku 1621.

Dwuznaczną też i niezbyt zaszczytną rolę odegrał Andrzej Strzelecki w czasie buntów kozackich, zdradzając kolejno króla szwedzkiego i Kozaków.

*

Niezwykłą zupełnie, a niefortunną była transakcja, jaką zawarł w roku 1662 niejaki Cyrjak Izarowicz ze Stanisławem Potockim, wielkim hetmanem Koronnym.

Ów Izarowicz, Grek z pochodzenia ale zupełnie zrutenizowany, był jednym z wybitnych członków bractwa stauropigijskiego. Prowadził rozmaite interesy handlowe, nie gardząc żadnym zarobkiem, jak tego dowodzi najwymowniej ów kontrakt z Potockim.

Przedmiotem handlu w tym wypadku był... kniaź moskiewski Osyp Szczerbatyn, który w wyprawie Cudnowskiej dostał się do niewoli hetmana.

Izarowicz postanowił jeńca odkupić, by go następnie odstawić osobiście do ojczyzny i tam dostać od niego przynajmniej drugie tyle. W szczególności wypłacił Izarowicz przy odbiorze jeńca gotówką dziesięć tysięcy złotych, dalsze dwa tysiące ciemiemi suknami i dwa tysiące falendyszami. Przy przekroczeniu granicy zaś miał dopłacić dworzaninowi hetmańskiemu jeszcze cztery tysiące złotych i sześć soroków soboli.

Niestety — rachunek robił Izarowicz — bez gospodarza. Wysłannik jego wraz z żywym, a cennym „towarem“ dotarł szczęśliwie do Smoleńska, — tam kniazia Szczerbatyna odebrano, konwojenta zaś odprawiono z kwitkiem, i to dość niegrzecznie.

Nie mógł przeboleć tej straty Izarowicz. Wraz ze swym przyjacielem, Dawidowiczem, wybiera się osobiście do Moskwy. Po przebyciu wielu niebezpieczeństw i trudów dostali się w końcu do celu. Chodzili, prosili, udawali się nawet do Szczerbatyna o interwencję. Ale wszystko naprożno: przesiedzieli się nawet parę dni w więzieniu, wreszcie po trzynastu tygodniach daremnych zabiegów wrócili z niczem.

A nie musiał się Izarowicz dobrze zapisać w pamięci swego dostojnego pupila i byłego więźnia, skoro żali się, że tenże „nie pamiętając na dobroczynność, nawet bochenkiem chleba go przez wszystek czas nie opatrzył“.

O niezaszczytnym tym „handlu żywym towarem“ nie doszłyby może do nas żadne wieści, gdyby nie skarga, jaką przeciw Izarowiczowi wniósł hetman Potocki, z żądaniem zapłacenia reszty ugodzonej sumy. Nie pomogły tłómaczenia i wykręty Izarowicza: proces przegrał, a niezwykła ta, nieudała spekulacja stała się początkiem jego ruiny finansowej.

(kr.)

[1]) vide rękopis w Bibljotece Osso ineum, nr. inw. 2346.

O transmutacji pierwiastków

Świat małych i dużych atomów

Kwestja budowy materji oddawna interesowała umysły ludzkości. Hypotezy atomistyczne zmieniały się w szybkiem tempie, a zastępowano je nowemi, lepiej odpowiadającemi doświadczeniom. Całkiem innemi doświadczeniami zadowalał się fizyk 19 w. w porównaniu z czasami obecnemi, gdyż metody badań naukowych udoskonalają się, w miarę rozbudowy aparatu technicznego.

Obecny stan badań jest następujący: Cała przyroda martwa i żywa składa się z atomów, te zaś z elektronów (elementarnych ładunków elektryczności ujemnej) i protonów (elementarnych ładunków elektryczności dodatniej). Atomy wszystkich pierwiastków, a zatem cały wszechświat jest zbudowany tylko z dwóch cegiełek (protonu i elektronu). Najprościej przedstawia się atom wodoru. Środek atomu wypełnia 1 proton, jest to t. zw. jądro atomu, zewnątrz zaś tego jądra krąży 1 elektron. Jako całość atom taki jest obojętny, pozbawiony zaś elektronu jest ładunkiem dodatniej elektryczności. Protony spotykamy rzadziej niż elektrony; proton o masie 1840 większej od masy elektronu, jest mniej ruchliwy od elektronu. Roje protonów możemy otrzymać przy elektrolizie n. p. wody; elektrony zaś znajdują się wszędzie, n. p. w powietrzu, dlatego atom wodoru pozbawiony elektronu (naturalnie w specjalnych warunkach zdolnych wyrwać, wbrew sile przyciągania elektrycznego, elektron od jądra), natychmiast się zobojętnia, pochwyciwszy inny elektron z otoczenia.

Atomy innych pierwiastków mają budowę bardziej złożoną, jednak tylko z samych elektronów i protonów. Wobec takiego stanu rzeczy, znając strukturę wnętrz atomowych pierwiastków, przez dodawanie lub odejmowanie elektronów i protonów możnaby od atomów jednego pierwiastka przechodzić do drugiego. — Teoretycznie tak, — ale doświadczalnie nie jest to takie proste, choć dokonano doświadczeń, które potwierdziły wyżej wspomniane hypotezy i przypuszczenia. Przekonano się doświadczalnie, że 1 gr. radu rozpadając się w ciągu lat na atomy prostsze, (ostatnim niepromieniotwórczym jest atom ołowiu) wyrzucając z wnętrza swych atomów cząstki „alfa" o ładunku dodatnim, zdolny jest w ciągu 1 roku wytworzyć około 160 mm³ helu. Źródłem nowego pierwiastka w tym wypadku są cząstki „alfa", zobojętnione przez elektrony z otoczenia dają nam atomy helu.

Proces rozpadowy, wytwarzający pierwiastki o strukturze atomistycznej prostszej, jest niezależny od nas, ani żadnemi środkami nie da się opóźnić, ani też przyśpieszyć. Ponadto atomy helu powstałe z rozpędu radu nie można w żaden sposób wprowadzić w związek z resztą, z której powstały. Ale najważniejsze to, że stwierdzono fakt transmutacji pierwiastków, jednak nie zadowalający, gdyż jest niezależny od nas.

Dalszy rozwój prac naukowych pozwolił dokonywać transmutacji pierwiastków w następujący sposób. Jeżeli atom składa się tylko z ładunków dodatnich (protonów) i ujemnych (elektronów), zatem możnaby dokonać zmian w wewnętrznej strukturze jądra, zapomocą ładunków elektrycznych przedzierających się przez atomy jakiegoś pierwiastka. Takiemi pociskami bombardującemi atomy, mogą być właśnie cząstki „alfa", wysyłane przez rad. Znany badacz budowy atomu Rutherford, koło 1920 r., dokonał następującego odkrycia. Cząstki „alfa" przepuszczał przez naczynie, w którem znajdował się azot. Cząstki te, uderzając o jądro atomu azotu, rozbijają te atom i wydzielają z jądra jego jeden proton, czyli jądro atomu wodoru. Rutherford nie zdołał wprawdzie zbadać, jaka była reszta rozbitego atomu azotu, ale ze zobojętnionego protonu przez elektron, otrzymał atom wodoru. (Masa atomu wodoru mierzona gr. jest fantastycznie mała). Doświadczeniem tem stwierdzono, że istotnie proton jest składnikiem jądra. Późniejsze badania pozwoliły otrzymać atomy wodoru nietylko z azotu, ale i z innych pierwiastków, ale rezultaty uzyskane w różnych laboratorjach nie są całkiem zgodne.

Pytanie najciekawsze, ile takich protonów (n. p. z azotu), a tem samem ile atomów wodoru możnaby otrzymać w ten sposób. Bardzo znikomy procent cząstek „alfa", bombardujących atomy azotu jest zdolny zbliżyć się na taką odległość do jądra, aby wywołać katastrofę. Siły elektryczne jakie powodują rozbicie atomu, działają wtedy, gdy odległość między atakowanym jądrem, a bombardującą cząstką „alfa" jest bardzo mała. Jak małe są te odległości w świecie atomowym, podam przykład. Dwa kawałki jakiegoś metalu można spoić wtedy, gdy je tak silnie sprasujemy, że odległość poszczególnych cząsteczek (zbiorowisk atomów) wynosi około 0,000005 mm. Dopiero poniżej tej granicy jedne cząsteczki są zdolne pochwycić inne w sferę swego przyciągającego działania. Odległość między jądrem a cząstką „alfa" musi być jeszcze mniejsza (mniejsza od odległości elektronów od jądra dane liczbowe są podane na końcu). Istnieje zatem bardzo małe prawdopodobieństwo wdarcia się cząstki „alfa" w sferę działania elektrycznego jądra. Poprostu jest to kwestja przypadku, ale ze względu na wielką liczbę cząstek „alfa" wysyłanych przez rad jest jednak możliwe. Obliczono, że gdyby działano w ciągu roku cząstkami „alfa" wysyłanemi przez 1 gr. radu bez przerwy, możnaby otrzymać zaledwie parę stutysięcznych części mm³ wodoru. W ten sposób urzeczywistnione zostały do pewnego stopnia marzenia średniowiecznych alchemików, ale produkcja na szerszą skalę n. p. wodoru byłaby narazie przynajmniej niemożliwą.

Choć w ciągu ostatnich 37 lat począwszy od odkrycia ciał promieniotwórczych, dużo badań i hypotez dość szczęśliwych poczyniono odnośnie do budowy atomu, to jednak stoimy dziś jeszcze wobec tajników jąder atomu bezradni. Kto wie, czy całkowite rozwiązanie kwestji atomistycznej jest wogóle możliwe. Tymczasem zdani jesteśmy prawie na łaskę przypuszczeń i musimy się zadowolić z jednej strony tak wielkim dorobkiem naukowym pracy laboratoryjnej i teoretycznej, z drugiej zaś bardzo nikłym jeżeli chodzi o praktyczne korzyści.

Model atomu pierwiastków podobny jest do układów planetarnych. Podobnie jak planety krążą po orbitach dokoła słońca, tak elektrony dokoła jądra. Wkraczamy może w dziedzinę fantazji, która z czasem przybierze realne kształty. Istnieje może jakieś prawo, które pozwoliłoby ująć cały wszechświat z jednego punktu widzenia. Wszechświat to makrokosmos, — świat atomu to mikrokosmos, może istnieje hypermakrokosmos, dla którego właśnie nasz układ planetarny i inne jemu podobne są takiemi atomami, jak dla nas atomy pierwiastków. Może ktoś podobnie, jak my, dokonuje prób rozbicia atomów planetarnych, z których zbudowany jest jego świat, hypermakrokosmos. Ale próby te naturalnie nie są tak bardzo groźne dla naszego atomu planetarnego, takich atomów, układów słonecznych jest bardzo dużo, a więc trudno przypuścić, by akurat nasz układ planetarny uległ rozbiciu podobnie jak atom azotu. Odległości między układami słonecznemi mierzy się nie km., ale latami świetlnemi. Podobnie odległości między atomami n. p. azotu są w stosunku do ich rozmiarów bardzo duże. Wszechświat z układami słonecznemi, to naczynie, w którem są zanurzone atomy planetarne, podobnie jak atomy pierwiastków, które poddajemy w laboratorjach różnym eksperymentom; eksperymenty te jednak zawodzą, gdyż atom jakiegoś pierwiastka ma tak nikłe rozmiary w stosunku do wielkości naszego układu słonecznego, że trudno nam wkraczać (z tak wielkiemi jednostkami miar, jakiemi jest 1 mm i 1 gr) w jego wnętrze. Podobnie nasz układ słoneczny w stosunku do wymiarów wszechświata jest nikłym atomem.

Wkrótce właśnie w tej materji będziemy mogli dowiedzieć się dużo ciekawych rzeczy. Angielski znakomity astronom Eddington, znany z całego szeregu publikacyj, wydał ostatnio książkę, która wkrótce ma się ukazać i ma za zadanie popularnie odpowiedzieć na pytanie „Czy wszechświat się rozszerza", czy istnieje jakiś łącznik między budową mikrokosmosu (atomu), a budową wszechświata. Na to pytanie Eddington odpowiada ponoć bardzo prosto, choć świat naukowy bardzo krytyczne zajął stanowisko wobec tej nowej teorji.

Dla orjentacji w wymiarach atomów podaję dane w gramach i centymetrach:

Masa elektronu wynosi 9×10^{-28} gr (9 podzielone przez 1 z 28 zerami).

Masa protonu jest 1840 razy większa od masy elektronu.

Masa atomu wodoru wynosi $1{,}6 \times 10^{-24}$ gr.

Promień orbity, po której krąży elektron naokoło jądra w atomie wodoru, wynosi około $0{,}5 \times 10^{-8}$ cm

(czyli 0,000000005 cm lub $\frac{0.5}{10^8}$ cm)

W 1 gr wodoru znajduje się 6×10^{23} atomów wodoru (6 z 23 zerami).

Masa ziemi wynosi $5{,}7 \times 10^{27}$ gr (około 6000 tryljonów tonn).

Masa słońca jest 322000 razy większa od masy ziemi.

Odległość ziemi od słońca wynosi 149.5×10^{11} cm (około 150 miljonów km).

Najbliższe gwiazdy odległe od ziemi są dalej niż 30 biljonów km. Światło z tak odległej gwiazdy biegnie około 4,5 lat.

Masa atomu wodoru tyle znaczy w porównaniu z 10 kg, ile znaczy 1 gr. w porównaniu z masą ziemi.

I. K.

Małżeństwa między krewnymi

Dwie są grupy społeczne, biegunowo od siebie oddalone, wśród których najwięcej stosunkowo i najczęściej praktykowane są małżeństwa między bliższymi lub dalszymi krewnymi: najwyższa arystokracja, zaczynając od rodzin panujących, oraz lud wiejski, stojący na niskim stosunkowo stopniu kultury.

W pierwszym wypadku głównym motywem podobnych małżeństw bywa dbałość o zachowanie czystości rodu, o ochronienie go przed domieszką obcej, mniej wartościowej krwi. Klasycznym przykładem w tym kierunku byli faraono wie egipscy, którzy — jak historja podaje — zaślubiali niejednokrotnie łasne siostry.

Religja chrześcijańska wprowadziła pod tym względem znaczne restrykcje, — tem niemniej małżeństwa między „kuzynami" zarówno na dworach panujących jak i wśród arystokracji nie należą i dziś jeszcze do rzadkości.

Inny zupełnie podkład mają podobne małżeństwa, zawierane wśród ludu wiejskiego. Na zapadłej wsi, zwłaszcza w górach, przy utrudnionej i uciążliwej komunikacji, zdala od linij kolejowych, — mieszkańcy tworzyli jedną wielką rodzinę. Tam się rodzili i umierali, tam pracowali przez całe życie — i tam, na miejscu szukali żony.

Stąd do dziś dnia jeszcze znaleźć można w górskich wioskach i osadach po kilka i kilkanaście rodzin o identycznem nazwisku, spokrewnionych ze sobą od dziada pradziada.

Dzisiaj, w miarę postępów kultury, stosunki te ulegają zmianie na lepsze. Dużą rolę odgrywa tu kolej i samochód, uregulowane drogi, wreszcie i nędza na wsi, zmuszająca bardziej przedsiębiorcze jednostki do emigracji, czyto do pobliskich miast, czy na obczyznę.

Pozostał jeden tylko, poważny motyw: ukochanie ziemi. Aby nie rozdrabniać tych kilku czy kilkunastu morgów gruntu, aby nawet drobna część tej ziemi nie przeszła, jako wiano, w obce ręce, — zawiera się małżeństwa między krewnymi, — przyczem nawet sentyment schodzi na plan dalszy.

* * *

Pozostałaby do omówienia kwestja, czy tego rodzaju małżeństwa odpowiadają postulatom polityki populacyjnej i zasadom eugeniki.

Ze statystyki, przeprowadzonej wśród ludności wiejskiej, wynika, że pod względem płodności nie wykazują podobne małżeństwa znaczniejszych odchyleń od ogólnej normy.

Inaczej wygląda sprawa z punktu widzenia eugeniki. Jest rzeczą stwierdzoną, że najważniejsze cechy charakterystyczne rodziców przenoszą się na ich bliższe czy dalsze potomstwo. I to zarówno cechy dodatnie, jak i ujemne. W małżeństwach między krewnymi występuje to ze zdwojoną siłą, idzie tu bowiem o cechy dziedziczne zarówno ojca jak i matki.

Moment ten uważać można za specjalnie korzystny, o ile w rachubę wchodzą cechy zdecydowanie dodatnie, — spotykane oczywiście częściej wśród rodzin stojących na wysokim szczeblu kultury i cywilizacji, żyjących w dobrobycie, — niż wśród prostego ludu. Dodatnie te cechy przechodzą na potomstwo tem łatwiej i pewniej, im mniejsza jest różnica wieku między rodzicami.

Natomiast wśród ludu wiejskiego małżeństwa zawierane między krewnymi kryją w sobie więcej niebezpieczeństw, grożą przeniesieniem na potomstwo wszystkich — niezbyt licznych z reguły — cech dodatnich, ale też i wszystkich cech ujemnych, wad i ułomności zarówno fizycznych jak i umysłowych. Klasycznym przykładem pod tym względem są niektóre okolice alpejskie, gdzie kretynizm i wole jest specjalnie silnie rozpowszechnione, a gdzie małżeństwa między krewnymi były przez długie lata na porządku dziennym.

A nawet w wypadku, gdy oboje małżonkowie są zupełnie zdrowi fizycznie i umysłowo, — możliwem jest przeniesienie ich potomstwo pewnych wad ukrytych, odziedziczonych po przodkach. Według bowiem teorji Mendla, ogólnie przyjętej, wady podobne mogą powtórzyć się w drugiej czy trzeciej generacji, — z pominięciem najbliższej.

Stwierdzonem też zostało, iż ryzyko przeniesienia tych wad jest tem większe, im bliższy jest stopień pokrewieństwa rodziców.

Jak z powyższego wynika, — małżeństwa zawierane między krewnymi są zawsze pewnego rodzaju loterją, przy której szanse wygrania są dość skromne. Chyba, że ma się absolutną pewność, iż w rodzinie — dalszej i bliższej, — na przestrzeni paru pokoleń, nie było ani jednego osobnika, obarczonego jakąś ułomnością czyto fizyczną czy umysłową.

(dr. L.).

Nieznane listy Marysieńki

Marja Kazimiera d'Arquien, żona Sobieskiego, prawie dwa wieki czekała na swego biografa. Spolszczona Francuska znalazła go wreszcie na tej ziemi, z której do Polski przybyła, w Paryżu bowiem w roku 1898. Kazimierz Waliszewski wydał swe studjum pt. „Marysienka, Marie de la Grange d'Arquien, reine de Pologne, femme de Sobieski". Utarło się mniemanie, że zjawienie się Marysienki w Polsce, nie przyniosło narodowi pożytku, a więcej przykrości niż radości. Licznych przywar i wad bynajmniej nie zrównoważały ani przymioty serca, ni umysłu. Natura dość płocha, mało zdolna do uczuć tkliwych, pełna próżności i hołdów dla siebie, nie potrafiła nigdy uczuciem w równej mierze odpowiedzieć temu, dla którego była wszystkiem. Astrea odcinała się w tej mierze znacznie od swego Celadona.

Waliszewski w swem studjum oparł się przeważnie na aktach i relacjach archiwów francuskich, nie pomny, iż wśród źródeł z drugiej połowy XVII wieku niema materjału bardziej niepewnego i stronniczego, jak one właśnie. Z rozczytywania się w nich wyniósł wiarę w ich nietykalność i prawdomówność, a opierając się na tym mało pewnym materjale, ważył się na poglądy i sądy tak dobitne i apodyktyczne, jakgdyby ogarnął całły materjał źródłowy, którego w dużej mierze nie objął.

Zapatrując się na rolę Marysienki w Polsce przez zamglone, a nieraz nieczyste szkła francuskie, starał się on w obszernem swem studjum sprowadzić ją do moralnych nizin, do których też w pewnej mierze usiłował ściągnąć i jej męża.

W świetnej rozprawie, pt. Marja Kazimiera Sobieska — rozprawił się z tym paszkwilem na królewską parę Wiktor Czermak. Znakomity znawca epoki, którą oświetlił w szeregu pierwszorzędnych prac, w druzgocący sposób załatwił się z paryską książką. Jakby krok za krokiem postępując po linji wywodów Waliszewskiego, gruntownie je osłabił i stępił ostrze dziwnych wielce ataków z francuskich archiwów poprzez niezmierzoną gęstwinę niewyzyskanych źródeł polskich. To też nic dziwnego, że w konkluzji swych wywodów stwierdził Czermak, „że nam książka Waliszewskiego nic nie przynosi", a wskazując na jej lichotę i szkodliwość, wyraził zdanie, „że tej książki czytać nie warto i że w literaturze prawdziwie naukowej miejsca dla niej niema."

Po tym pojedynku o cześć kobiety, rozegranym u schyłku minionego wieku, głucho było przez szereg lat o Marysience, aż głuszę ową przerwały w ostatnich dniach „Nieznane listy królowej Marji Kazimiery", wydane nadzwyczaj starannie i umiejętnie, oraz zaopatrzone bardzo wyczerpującym komentarzem przez Dra Witolda Ziembickiego. Ogłosił on w języku francuskim w „Kwartalniku Historycznym" pod tym tytułem 13 listów królewej Sobieskiej, dotąd nieznanych. Stanowią one dziś własność Archiwum m. Lwowa, którego dyrektor Dr. Aleksander Czołowski, wydawcy dał do dyspozycji. Są to autografy Marji Kazimiery, pisane przez nią w języku francuskim do syna Jakóba w latach



1683—1693. Przekład polski opatrzony również jak tekst francuski, wstępem i przypisami pomieścił Dr. Ziembicki w ostatnim zeszycie „Przeglądu Powszechnego". Wydawca ogłoszone przez się listy podzielił pod względem rzeczowym na pięć części, z których pierwsza zawiera list z dnia 18 września 1683, pisany bezpośrednio pod wpływem wiadomości o zwycięstwie wiedeńskiem, druga list z dnia 1 września 1687, pisany w czasie wyprawy królewicza Jakóba pod Kamieniec, trzecia pięć listów z lat 1687—1688, z okresu ubiegania się Jakóba o rękę Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny, czwarta list z dnia 23 lutego 1691, z czasów zabiegania o rękę księżniczki Neuburskiej, wreszcie piąta obejmuje pięć listów, pisanych po ślubie Jakóba z ks. Neuburską, z lat 1692—1693.

Jednym z najciekawszych jest list pierwszy, pisany bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o wspaniałym wyniku odsieczy wiedeńskiej. Królowa pod wrażeniem wielkiej wiktorji napisała do syna Jakóba, pozostającego na polu chwały, list, w którym dała wyraz swym uczuciom, jakie żywiła względem zwycięzcy z pod Wiednia. List przepełniony jest uwielbieniem dla króla i zaraz w pierwszem zdaniu wyraża myśl, iż szczęśliwym jest syn, który posiada takiego ojca. „Wśród łask — pisze dalej — jakie zawdzięczamy Bogu, jest to jedna z największych. Co do mnie pojmuję dobrze swe wobec Boga zobowiązania za to, że jego właśnie dał mi za małżonka, to też pragnęłaby w każdej godzinie objawiać Mu swą wdzięczność i wielbić Go, a chociaż czyni to często, nie potrafi uczynić wszystkiego dla należytej oceny Boskiej dobroci. Prośmy — pisze królowa — zatem Pana Boga, aby go nam jak najdłużej zachował, a Tobie, aby dozwolił być godnym synem takiego ojca". W końcu zawiadamia syna, iż posyła mu szarfę i wyraża zadowolenie, iż brat jej, Ludwik hr. Maligny, który pod Wiedniem był dowódcą dragonji, dzielnie spisał się na polu bitwy.

W jednym z listów skarży się Marja Kazimiera na niewdzięczność Austrji, która nie pamięta, komu zawdzięcza ocalenie swej suwerenności. Jest to zarazem wyraźna aluzja do roli, jaką Marysienka zajęła w stosunku do odsieczy, nakłaniając męża do jej podjęcia. Ale najważniejszym momentem, uderzającym czytelnika listów jest dążenie Marysienki do utrwalenia dynastji Sobieskich, a z drugiej strony ustawiczna walka dlatego właśnie prowadzona przeciw niej i domowi Sobieskich przez magnatów.

Wczytywanie się w odnośne ustępy pobudza do głębokich refleksyj, wzbudzając niekłamane sympatje dla autorki listów, tak tendencyjnie nieraz charakteryzowanej.

Wydane przez Ziembickiego listy Marysienki rzucają wiele światła, w części nowego a bardzo korzystnego, na postać królowej, jak niemniej na stosunek jej i do króla i do dzieci, przynoszą wiele szczegółów, rozświetlających rozmaite problemy zarówno z życia publicznego, jak i prywatnego ówczesnej Polski, niemniej ważnym są przyczynkiem do poznania stosunków rodzinnych, rodziny królewskiej.

Listy Marji Kazimiery wydane zostały nadzwyczaj starannie, w myśl wymagań naukowych i zaopatrzone przez wydawcę w obszerny i nadzwyczaj wyczerpujący komentarz, który nader umiejętnie wprowadza nas w problemy, występujące w tych, nieznanych dotychczas listach królowej Marji Kazimiery.

Aleksander Medyński.



PAUL CLAUDEL

Krucyfiks

Zawisnął cały na krzyżu, rozpięty niemiłosiernie,
jedynie głowę ma wolną, spowitą w kłujące ciernie

Modlił się. Przez trzy godziny mogliśmy widzieć twarz Pana,
aż wkońcu głowa opadłą, bezsilna i wyczerpana.

I oto patrzeć możemy na twarz Chrystusa w tej chwili,
gdy On się na nas nie patrzy, gdy głowę nisko pochylił,

gdy wisi cichy, pokorny, rozpięty na krzyża drewnie.
Cokolwiek byśmy robili, — to jedno dla nas jest pewne,

że owej męki serdecznej odmienić nic już nie zdoła,
że ku nam pochylonego — nie zwróci gdzieindziej czoła.

On wszystko wiedział już naprzód — i choć Mu gwóźdź w ciało wnika.
czeka cierpliwy, bezbronny, czeka wciąż na mnie, grzesznika.

Miłością Swą mnie odkupił, w miłości zniżył się do mnie.
Ach, jakże twarde te gwoździe męczyć Go muszą ogromnie!

Mniejby czuł mękę krzyżową — i mniejby cierpiał przezemnie,
gdyby nie brzemię tych grzechów, które-m popełnił nikczemnie,

przełożył KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Zmierzch mniszej republiki

Podobno rząd grecki nosi się z zamiarem zamknięcia klasztorów prawosławnych na górze Atos. Krok ten nie jest wynikiem kampanji antyreligijnej, a przecie pozostaje w związku z sowieckiem bezbożnictwem. Mianowicie bolszewicy skonfiskowali położone w Rosji dobra klasztoru Pantalejmona, najbogatszego zapewne na górze Atos, a pielgrzymki z Rosji ustały i mnici znaleźli się bez środków do życia, więc koszt ich utrzymania spadł na rząd grecki. Nie jest to koszt wielki, gdyż na górze Atos mięsa nie jada się wcale, a posiłki składają się z jarzyn, owoców i jagód. W każdym razie mieszka tam jeszcze 2500 mnichów, więc oszczędność zaważy w budżecie greckim.

Zwierzchnictwo rządu ateńskiego nad górą Atos było tylko tytularne. W gruncie rzeczy mnisi tworzyli rodzaj niezależnej rzeczypospolitej, którą rządził prezydent, zwany protos. Gdy Leon VI, cesarz Bizancjum, założył słynny klasztor św. Ławry, protos podlegał patrjarsze konstantynopolitańskiemu, ale w XI g. góra Atos przestała uznawać to zwierzchnictwo. Władza protosa była głównie sądowniczą. Mnisi byli zwolnieni od wszelkich podatków. Podobno przez tysiąc lat ani jedna kobieta nie pojawiła się w obrębie ich państwa. Podróżni, przybywający dla zwiedzenia góry i pielgrzymi musieli stosować się do zwyczajów miejscowych i nie jadali mięsa.

Mnisi zajmowali się uprawą ziemi, hodowlą pszczół i wyrobem wina. Często szukali pośród nich schronienia sławni i potężni ludzie, który doznali klęsk i niepowodzeń. Zgórą siedmset lat temu schronił się na górze Atos książę serbski Stefan Nemanja. Tu również mieszkał św. Sawa, patron Serbji.

Za dobrych czasów góra Atos była dla prawosławnych tem, czem Rzym dla katolików lub Mekka dla muzułmanów. Z wielu krajów, szczególnie z Rosji płynęły hojnie dary, któremi zdobiono wnętrze cerkwi.

To też przed wojną mieszkało tu około 16 tysięcy mnichów. Samych greckich klasztorów było 17, Rosjanie, Serbowie i Bułgarzy mieli swoje własne. Pozatem było 14 mniejszych klasztorów, 250 t. zw. k e l l i a t. j. domków, w których mieszkało tylko po kilku mnichów, i 150 pustelni.

Podczas wojny góra zaczęła się wyludniać. Spis ludności w r. 1920 wykazał 5.140 mieszkańców. Siosem dla mniszej rzeczypospolitej była także klęska Greków w Małej Azji. Dziś cyfra z r. 1920 spadła do połowy. Ma się pod koniec republice na górze Atos.

J. S.



Za murami klasztoru

O władzę reżysera

Teodor Komisarzewski, Rosjanin, który od dłuższego czasu działa na terenie angielskim jako reżyser, ogłosił niedawno książkę „Teatr". Jest to rodzaj wyznania wiary czy programu, a raczej próba narzucenia [illegible] własnego po[illegible] na stanowisko reżysera, któremu Komisarzewski przyznaje absolutną przewagę nie tylko nad aktorami, ale i nad autorem sztuki. Stawia mu zresztą wysokie wymagania. Niestety, formułuje je dość mętnie, nadużywając szumnych wyrażeń, których nie wyjaśnia:

„Podczas prób sztuki, reżyser tworzy sobie interpretatywną jedność indywidualności wykonawców — t. j. syntezę ich myśli, uczuć i metod wypowiadania się. Wytworzenie takiej jedności nie jest rzeczą łatwą, a idealne wyniki można osiągnąć jedynie wtedy, gdy reżyser jest wodzem duchowym, rodzajem czarnoksiężnika, psychologa i mistrza techniki".

Czarnoksięstwo, psychologja i mistrzostwo techniczne — to wcale dużo. Zato jednak Komisarzewski wymaga dla reżysera jeszcze więcej, bo poprostu dyktatury. Ma on być odpowiedzialny jedynie przed samym sobą. W rzeczywistości bywa inaczej, nawet w Bolszewji. W społeczeństwach zachodnich, reżyser zależy od mniejszego lub większego zadowolenia publiczności, od kapitalisty, finansującego teatr, a o ile sam byłby tym kapitalistą, może tak długo być dyktatorem, jak długo mu starczy pieniędzy.

Komisarzewski zdaje sobie z tego sprawę, dlatego woli inny system. Od przedsiębiorczości prywatnej ucieka do etatyzmu, od krajów z rządami parlamentarnemi do dyktatur. Zastrzega się, że nie jest bolszewikiem, faszystą ani hitlerowcem, a przecie „wita faszyzm, komunizm i hitleryzm, jako potężne siły, torujące drogę ku nowemu życiu kulturalnych, zdyscyplinowanych jednostek, złączonych pod wodzą ludzi oświeconych dla pracy społecznej, naukowej i artystycznej". Dla tego ideału warto nawet zapomnieć o ofiarach, jakie padły n. p. w Rosji — zestawienie z niemi wygnania z Niemiec pewnej ilości Żydów, charakteryzuje Komisarzewskiego, jako człowieka zapatrzonego we własną działalność artystyczną i oderwanego od realnego życia.

Ale czy i wszechwładne państwo, w którem panuje dyktatura partji, grupy lub człowieka, da reżyserowi taką pełnię władzy, zrobi go w zakresie teatru Stalinem, Mussolinim czy Hitlerem? Chyba nie. Naprzód, jak wiemy z doświadczenia, żąda od niego intensywnej propagandy swych idei. O ile pod tym względem „teatralny dyktator" zawiedzie oczekiwania, koniec z jego dyktaturą. Ale musi on zresztą dowieść swej sprawności także uznanym na całym świecie sprawdzianem, musi przyciągnąć publiczność.

A publiczność niezawsze zgodzi się z koncepcją podporządkowania autora reżyserowi. Choćby nawet od lat kilkunastu, jak w Bolszewji, żyła w atmosferze wrogiej wszelkiej tradycji, zawsze będzie miała pewną dozę zdrowego rozumu, który jej powie, że reżyser, to jeden z wykonawców sztuki. Jego zadaniem jest rzeczywiście uzgodnić wysiłki innych wykonawców i nadać im pewien kierunek, ale kierunek ten jest nakreślony przez autora. Jeżeli zaś idzie o dzieło klasyczne, będące wytworem genjusza, samowola reżysera, zbaczająca z toru, jaki autor wskazał, może tylko dzieło to zniekształcić i zepsuć.

W Bolszewji próbowano najdzikszych eksperymentów, szczególnie w celach propagandowych, robiąc z Szekspira, Molière'a, Lope de Vegi, przy pomocy opuszczeń i dodatków, ideowych komunistów. A przecie publiczność odczuła niewłaściwość tych praktyk i dzisiaj nastąpiło otrzeźwienie. Oto znamienny przykład:

Dyrektorem Kamernego Teatru w Moskwie jest Aleksander Tairow. Oddawna zapowiadał on otwarcie sezonu wspaniałem widowiskiem „Noce egipskie", opartem na Szekspirze, Puszkinie i Bernardzie Shaw. Z upragnieniem oczekiwane przedstawienie okazało się czemś potwornem. Sztuki trzech wielkich pisarzy o Kleopatrze powstały w różnych epokach, na tle odmiennych kierunków literackich i w rozmaitych warunkach teatralnych. Genjalny elżbietanin nie zgodził się z baironicznym romantykiem i z wesołym ibsenistą. Prasa napiętnowała „Noce egipskie", jako barbarzyństwo, a komisarjat oświaty ma podobno wzbronić na przyszłość takich operacyj na klasykach.

Reżyser nie może być wszechwładny i nie jest, jak głosiły teorje sowieckie: „autorem przedstawienia". Tym musi być autor sztuki. A jeżeli zrozumiano to już w Bolszewji, gdzie właśnie powstała herezja reżyserska, to tembardziej powinna to zrozumieć zachodnia Europa. Gdybyśmy nawet uznali, że sztuka sowiecka przoduje światu i toruje mu nowe drogi, to i w tym wypadku musielibyśmy uznać, że nie dotrzymuje jej kroku w postępie, bo entuzjazmujemy się kierunkiem, tam już osądzonym i gasnącym, jednem słowem — wczorajszym.

Z tego względu Anglja nie da sobie narzucić dyktatury Komisarzewskiego, którego szekspirowskie eksperymenty, przedsiębrane podczas festiwalów stratfordzkich, wywołały u jednych chłodne pochwały, u drugich surowe potępienie.

W Polsce reprezentantem herezji reżyserskiej jst p. Leon Schiller. Ostatnie etapy jego działalności, na terenie warszawskim, to „Sen nocy letniej" i „Dziady". I Szekspirowi i Mickiewiczowi stała się krzywda. W „Śnie nocy letniej" wybiła się na pierwszy plan efektowna, ale rubaszna komika, cały szereg ustępów głębszych padł ofiarą ołówka reżyserskiego. Zatraciło się umotywowanie całego szeregu scen, poświęcone efektom wzrokowym. Wplecione wiersze na cześć Szekspira wyglądały na ironję.

Natomiast przedstawienie „Dziadów" może już posłużyć za przykład analogiczny do procesu, jaki odbył się w Sowietach. P. Schiller w czasie działalności we Lwowie często dawał upust swym sympatjom komunistycznym. Dość przypomnieć wystawienie skandalicznej ramoty rosyjskiej „Krzyczcie Chiny"! „Dziady" wyreżyserował starannie, ale w paru szczegółach próbował dziełu, przesiąkniętemu gorącem, naiwnem nieraz po ludowemu uczuciem religijnem, odebrać ten charakter, a przynajmniej go osłabić. Wyrzucił opowiadanie kaprala w scenie więziennej, ale zatrzymał pieśń („Nie uwierzę, że nam sprzyja Jezus Maryja"), będąca przyczyną tego opowiadania, i kazał ją śpiewać za sceną, schodzącym się do celi Konrada (przez co z bluźierczego wystąpienia jednostki, które wszyscy potępiają zrobił nastrój zbiorowy) kazał Konradowi na końcu improwizacji wymówić słowo „carem" („Powiem, żeś ty nie ojcem świata, ale...", tu Konradowi brak siły, pada on nieprzytomny, ostatni wyraz rzuca za niego szatan).

Otóż części zmian, świadczących za-



Procesja

Lud się cofnął, lud się zakołysał...
Zwarta ściana stoi na cmentarzu:
Barwna chusta, lśniąca czaszka łysa,
Warkocz płowy z krągiej główki zwisa.

Ciemne głowy... Środkiem korytarza
Ksiądz z procesją idzie od ołtarza...
W górze płonie słońca złota misa...

W nagłej pustce ściemniał stary kościół,
Śród witraży promień zamigotał, —

Spłynął z barw, jak z rogu obfitości,
I utopił krzyż z pożółkłej kości
W ciepłej fali czerwonego złota.
Uroczysty, jak przysięgi rota,
Miękko śpiew dochodzi z odległości.

XENIA ŻYTOMIRSKA

równo o tendencjach antyreligijnych, jak o pretensjach do wszechwładzy reżysera, p. Schiller zaniechał już w Warszawie.

Z powodów tych, które powtórzył, spotkała go zasłużona nagana w prasie.

Miejmy tedy nadzieję, że i reakcja społeczeństwa i przykład samych Sowietów, które wydają się p. Schillerowi godnym naśladowania wzorem, wyleczy go z dążeń, nie pozwalających jego wybitnym naprawdę zdolnościom reżyserskim dać pożądanych dla teatru polskiego wyników. Na zakończenie jedna uwaga: Czy rzeczywiście skazani jesteśmy na to, aby niewolniczo i naiwnie iść za jakiemić obcemi wzorami, rosyjskiemi czy innemi? Bynajmniej. Warszawskie teatry stoją dziś bardzo wysoko — nie dzięki reżyserji, lecz dzięki świetnym artystom. Błyskawicznie dokonywujący się rozwój stolicy ściągnął do niej z niewielkiemi wyjątkami wszystkich najlepszych aktorów z całej Polski. Tym sposobem stara warszawska tradycja łączy się z tradycjami prowincjonalnemi, niekiedy równie świetnemi. Czasby był stworzyć coś własnego. A jeżeli mamy korzystać z obcych doświadczeń, to przedewszystkiem powinny nas one nauczyć, że nie wszystko, co nowe, to dobre, że prawdziwy postęp musi szanować ciągłość tradycji i jej naturalny rozwój, wreszcie, że „autorem przedstawienia" jest przedewszystkiem dramaturg.

Władysław Tarnawski.

Z dziejów grobu Fausta Socyna w Lusławicach

W przepięknej dolinie Dunajca, na wschód od Czechowa leży mała wioska Lusławice, której dzieje są ściśle związane z dziejami polskiego antytrynitaryzmu. Tu w Lusławicach istniał zbór arjański, tu zjeżdżali się dosyć często Bracia Polscy na synody, na których zbierali się przedstawiciele zborów arjańskich z całej Korony i Litwy, a często nie brakło i gości zagranicznych i radzili nad przebudową dogmatyczną i etyczną społeczeństwa, tu mieściła się słynna szkoła, do której to „akademji" okoliczna szlachta i katolicką młodzież na wychowanie oddawała, zaś na wyspie na Dunajcu miała istnieć drukarnia, w której tłoczono dzieła teologów zborowych, komentujące obszernie Pismo św., czy też odpierające polemiczne ataki przeciwników.

W tej podgórskiej wsi dnia 3-go marca 1604 roku, dokonał życia najznakomitszy przywódca Braci Polskich — Faust Socyn, urodzony we Włoszech w Sienie dnia 5 grudnia 1534, od nazwiska którego nazwano nawet polskich antytrynitarzy socynjanami. Zasługi jakie położył Socyn nad rozwojem polskiego unitaryzmu są olbrzymie; on bowiem swojemi dziełami dał podstawę przyjętej powszechnie przez arjan doktrynie religijnej.

Po słynnej przeprawie krakowskiej w dniu Wniebowstąpienia 1598 roku, kiedy ledwie zdołał ujść z życiem z rąk rozjuszonego wzmagającą się nienawiścią wyznaniową tłumu, przybył Socyn do Lusławic i zamieszkał w charakterze gościa u Abrahama Błońskiego, właściciela połowy wioski i na spokojnych studjach spędził ostatnie lata życia i tu został pochowany w grobie nakrytym piaskową płytą, zaopatrzoną odpowiednim napisem. Jak długo istniał zbór arjański w Lusławicach grób Socyna otoczony czcią i pietyzmem posiadał dobrą opiekę. Stan taki jednak miał przetrwać tylko kilkadziesiąt lat.

Wzmagająca w XVII w. nietolerancja religijna zadała cios druzgocący polskiemu arjanizmowi Stanowisko jakie zajęte przez Braci Polskich w czasach Potopu przypieczętowało ich los raz na zawsze. Na mocy bowiem uchwały sejmowej z 1658 roku, „jeżeliby się takowy znalazł, coby tej sekty swojej wyrzec się nie chciał", musieli Bracia opuścić Polskę. Sejm zebrany 22 marca 1659 roku, wyznaczył im ostateczny termin na dzień 10 lipca 1660. Część arjan zmieniła wyznanie i pozostała w Polsce, reszta wierna sumieniu udała się na wygnanie zagranicę. I wkrótce też grób Socyna poszedł w zaniedbanie i zapomnienie. Odkrył go dopiero w 1820 roku Siarczyński w otoczeniu starych drzew.

Dzięki temu przypadkowi poczęli się interesować grobem Fausta uczeni i literaci, jak Seweryn Goszczyński, Bogusz Steczyński, który w 1847 r., ogłosił rysunek przedstawiający pomnik grobowy otoczony półkolem lip, Maksymiljan Zdulski i Lucjan Siemieński. Stan miejsca, kryjącego w sobie prochy tego wybitnego arjanina przed stawiał się w tym czasie bardzo opłakanie. Kamień ciosowy, czterograniasty leżał „wywrócony przez wzgardę naumyślnie z napisem włoskim po większej części zatartym" i w dodatku był poszczerbiony siekierami. A co gorsza jeszcze i zwłok miała już nie kryć mogiła, wedle bowiem legendy żyjącej w tradycji ludowej, gdy na początku XIX w. grasowała w okolicy epidemja cholery, dziesiątkująca ludność, zabobonni wieśniacy dla odwrócenia klęski mieli odkopać zwłoki i wrzucić do Dunajca. Według zaś innej wersji utopić miano w rzece tylko jeden z nagrobnych kamieni.



Grobowiec Fausta Socyna

W 1879 roku zwiedził Lusławice Aleksander Gordon, rektor kolegjum unitarjańskiego w Manchester i wtedy pierwsza wiadomość o grobie Socyna dotarła do unitarjuszy angielskich. Od zagłady ocalił grób rząd austrjacki, który na usilne nalegania prof. U. J. Włodzimierza Demetrykiewicza w 1907 roku po długich zwłokach grób zakupił, uporządkował go i przykrył zwyczajnem nakryciem z dachówki. W 1910 roku, dr. Charles Wendte z Bostonu, zwiedzając grób w towarzystwie prof. Henryka Merczynga podał myśl wzniesienia na tem miejscu odpowiedniego pomnika. W nast. roku zorganizował on Międzynarodowy Komitet, który począł zbierać fundusze na ten cel. Wybuchła jednak wielka wojna i musiano prawie, że zrezygnować z projektu.

Dopiero, gdy w 1924 roku przybył do Polski prof. Earl M. Wilbur z Berkeley w Kalifornji i w towarzystwie prof. U. J. Wacława Sobieskiego odwiedził grób, przekonał się, że plan wciąż czeka jeszcze na realizację. Rzecz wzięło w swe ręce Unitarjańskie Tow. Historyczne z Bostonu St. Zj. A. P., i zebrało dodatkowe sumy potrzebne na ten cel i gdy prof. Wilbur w 1932 roku przybył ponownie do Polski doprowadzono sprawę budowy pomnika do rezultatu, który kosztem 1800 dolarów ukończono w sierpniu 1933 roku.

Plan pomnika - grobowca sporządził prof. Szyszko - Bohusz, a wykonał go arch. Bronisław Kulka z Tarnowa.

Nowy grobowiec z kremowego dolomitu jest zbudowany w klasycznym stylu dorycki. Na czterech monolitowych kolumnach opiera się belkowanie z płaskim dachem, ochraniającym stary oryginalny nagrobek, na frontonie wyryto napis: *„Faustus Socinus 1539—1604"*.

Napisy na starym kamieniu są ogromnie zniszczone, na przedniej stronie znajdują się szczątki włoskiego dwuwiersza, całą zaś stronę prawą zajmują ślady siedmiowierszowego napisu polskiego. Reszta napisów zniszczona. Na ścianie tylnej pomnika umieszczono napis:

In Memoriam Fausti Socini Itali Nati Senis Dec. 5. 1539. Denati Luclaviciis Mar. 3. 1604. Et In Recognitione Laborum Eius Pro Libertate, Ratione Et Tolerantia In Religione Posuerunt 1933 Cultores in Europa, Anglia, America. Chi Semina Virtu Raccoglie Fama E Vera Fama Supera La Morte.

Tekst dwuwiersza włoskiego, którego tylko część można odczytać na starym głazie odkrył prof. Wilbur w Sztambuchu przyjaciół Andrzeja Lubienieckiego w rękopisie Muzeum XX. Czartoryskich.

Pomnik jednakowoż nie stanął na miejscu dawnem, gdyż wieśniak odmówił sprzedaży wąskiego kawałka roli, potrzebnego do tego celu. Jednak właściciele dworu w Lusławicach p. Vayhingerowie ofiarowali miejsce w parku, gdzie prawdopodobnie Socyn spędzał ostatnie dni życia. Przy tej sposobności rozkopano dawne miejsce i stwierdzono, że tam grobu nigdy nie było i że kamień niegdyś odsunięto z właściwego miejsca. Tem samem nie można więc zaprzeczyć ani potwierdzić legendy o utopieniu w Dunajcu zwłok Socyna.

Do dzisiejszego dnia jeszcze żyje w tradycji mieszkańców Lusławic szereg innych legend opartych na motywach życia zboru arjańskiego i siwowłosego heretyka — Socyna, którego „fama supera la morte".

MGR. STANISŁAW SZCZOTKA,
(Kraków).

Dziwny „panicz"

**Kto się poświęcił dla dobra ludzi,
powinien o ich sądzie zapomnieć.**

„Panicz, panicz" — wołają zanim drwiące głosy kolegów, — oni ciągną go na dół za ręce i nogi, za płaszcze. — A wołają za nim nietylko dlatego, że jest synem sprzedajnego arystokraty, ale i zato, że jest poetą. Ten cichy, blady i wątły młodzieniec, wpatrzony w dal smutnemi i jakby niewidzącemi oczyma, nie nadaje się do niczego. Nie wodzi za wysoko wzniesione ręce potulnych i jakże pięknych panien w posuwistym polonezie, — nie szepce im do ucha zaklęć kunsztownych, ani nie deklamuje wzniosłych ód przy blasku kolorowych lampionów, zawieszonych wśród upajającego zapachu akacji. Nie przegrywa w faraona rulonów złota w zadymionych szulerniach. Nie odwiedza komnatek bawialnianych, gdzie przebierają się czarnookie śpiewaczki włoskiej opery buffo, ani nie należy do tajnego stowarzyszenia rewolucyjnego, gdzie, aby zostać przyjętym, trzeba przejść szereg posępnych ceremonij, zakończonych przysięgą na zatruty sztylet, oświecony migotliwem światłem pochodni, na krycyfiks, ponuro błyszczący wśród upiornych masek zakapturzonych postaci.

Młodzieniec chodzi zawsze sam. Czarną sylwetą odcina się zawsze, czy to wśród błyskawic i fjoletowych chmur, czy od wschodu czerwieniejącej jutrzenki. I pomimo, że jak „Dante przeszedł przez piekło", zaopatrzony jest w tajemnicze oblicze świata i zasłuchany w bicie jego tętna. Gdy stoi na placu Karuzeli, widzi wciąż jeszcze, jak -pijany tłum rozwydrzonych meger tańczy, naokoło skrzypiącej nieludzkim skowytem, zbroczonej gilotyny. Gdy przechadza się wysoko, wysoko nad płynącym w dole Tybrem, — słyszy jak szumią wieki, — widzi smutnemi, jakby niewidzącemi, oczyma, jak ze wszystkich stron świata płyną karawany bogactw do Miasta na Siedmiu Wzgórzach. Ciągną po zakurzonem Forum romanum, długie rzędy wielbłądów, niosących na garbach wszystko co tylko potrafiła wykonać praca i mądrość wschodu. A z północy stada bydła idące miesiącami, od dalekich krajów, zanim przeszły góry wysokie i zstąpiły w zielone doliny Umbrji.

Wszystko to zdąża ku temu miastu, gdzie nie jest jednak nikomu znane dobrze. Gdzie usiłuje się jakoś ułagodzić wyciągnięte pięści i uciszyć złorzeczenia rzucane na otyłego cezara w czerwonej tunice i wieńcu laurowym na łysej głowie, siedzącego za barwnym kobiercem loży cyrku. — I gdzie w ciemnych, zatęchłych podziemiach wznoszą się namiętne modły do dziwnego Boga, obiecującego Wybawienie wynędzniałym i obdartym ludziom.

O tak Młodzieniec chwyta za gęsie pióro. Pisze, Pisze o Miłości. I choć ręka jego często opada pod wpływem otaczających go wątpliwości, jednak wznosi się znowu, by rzucić słowa płomienne, dla wielu niezrozumiałe, dla wielu inaczej rozumiane, mające jednak dla wszystkich jednakowy sens: Ludzkość i jej cierpienia.

„Wiek mój" — pisze — był wieklem przejścia i złego. Świat cały jest giełdą bez Boga". W gmachu tym jest „wystawa z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż hen tam, gdzie górowały trony świecące. Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń Wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole, a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu..." W tych worach spętane były dusze kupców, które płakały. W miarę jak „się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących i gniotąc stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich".

Tak pisze ten, którego przezywali rówieśnicy paniczem. Tak pisze człowiek chory, potężny „serca męką" ze „smętną jakąś nieszczęść sławą". Tak żył poeta „wielkim, cichym, dumnym smutkiem". W liście do pani Ankwiczowej pisze: „Cóż mam więcej donieść pani? nikogo nie znam, nikogo nie widuję, na wieczory, na bale nie chodzę. Oczy mnie mocno bolą, często nic nie robię, wkrótce przestanę myśleć"...

A jednak nie przestał myśleć samotny poeta, przechadzający się po ruinach Kolizeum, lub wysoko, wysoko nad brzegiem płynącego w dole Tybru — zasłuchany w daleki szum wieków, poprzez które płynie namiętna modlitwa o Wybawienie ludzi obdartych i wygłodniałych

JAN PRZOZA.

ŚWIAT KOBIECY

Cukrowy baranek...

— Nie sprawiamy świąt! Tego roku jest to niemożliwe, czasy są zbyt ciężkie... — wiele gospodyń powzięło takie postanowienie przed świętami.

Szczęściem jednak nie dotrzymały tych pogróżek... i oto pewnego pięknego poranku zamienia się nasze mieszkanie w jedną wielką czarodziejską kuchnię... Smakowity zapach gotowanych wędlin, odurzająca, aromatyczna woń świeżego pieczywa uderza już u progu zrezygnowaną głowę rodziny.

Więc jednak...!

Stół zasłany obrusem, przybrany barwinkiem rabi się stosem spiętrzonych bab, mazurków, przekładańców... Cukrowy baranek bieleje wśród cudów sztuki kulinarnej... a obok przedziwnie pstre pisanki...

Dobre chęci pani domu, oszczędna gospodarka w ostatnich tygodniach przed świętami, systematyczne gromadzenie zapasów — sprawiły ten cud niespodziewany.

Czyż mogłyśmy bowiem podeptać tradycję urządzania świąt, czy mogłyśmy być tak okrutnemi, by odmówić najbliższym zwłaszcza maleństwom radości posiadania ślicznie zastawionego stołu wielkanocnego i raczenia się przysmakami świątecznemi?

Wolałyśmy raczej odmówić sobie kupna czegoś nowego i w ten sposób wyszłyśmy zwycięsko na tem przynajmniej polu w walce z kryzysem. A przyznać trzeba, że pole to wdzięczne i miło nam spojrzeć na pięknie zastawiony stół świąteczny.

Stare przepisy kulinarne, nakazujące wbijać do ciasta po jednemu kopę żółtek, musiały pójść wprawdzie na emeryturę — jak również nie mogłyśmy się pogodzić z koniecznością dosypywania do ciasta całego funta tartych migdałów i wielu... wielu łutów różnych bakalij... Miejsce tych przepisów zajęły oszczędne, zmodernizowane „recepty", podawane sobie życzliwie przez gosposie lub też wycinane skrzętnie z różnych kobiecych „kącików".

Tem nie mniej udały się baby doskonale i smakują nam wybornie — wolne są przytem od tragicznego zakalca, tak częstego w cieście przeładowanem tłuszczem i ciężkiemi dodatkami. Pieczywo kryzysowe jest lekkie na kieszeń i... żołądek.

Miejsce staropolskich gąsiorów ze stuletnim węgrzynem, zajęły skromne buteleczki wina domowego. Wódeczka, w domu zaprawiona, zyskuje zasłużone uznanie smakoszy. Słowem 100-procentowa praktyczność!

Mając stół świątecznie zastawiony, możemy puścić wodze pięknej, staropolskiej cnocie gościnności, która jak z bólem serca konstatujemy wychodzi coraz bardziej z mody... Położenie materjalne, zmusza nas do jaknajdalej posuniętej oszczędności, a przyjmowanie gości, pociąga za sobą bądź cobądź wydatek... Oszczędzamy...

Nie znaczy to, by podobny stan rzeczy nam odpowiadał, lub szedł po linji naszych życzeń, jednak przy naszych stałych, a... minimalnych dochodach nie możemy inaczej...

Święta mają swe przywileje i nastrajają nas tak serdecznie, że możemy wreszcie być sobą i zrzucić sztucznie nałożoną markę chłodu i obo-

Gość w dom — Bóg w dom...!

Na stole bieleje cukrowy baranek, siejąc słodycz gościnności...

Otwieramy podwoje naszym kochanym przyjaciołom...

Zdrowie gospodarzy! Zdrowie gości!

JANINA KOCHANOWSKA.

Modne drobiazgi

WOALKI

Wiosenne i letnie woalki straciły swoje właściwe, funkcjonalne znaczenie. Cały punkt ciężkości przeniesiony na tył głowy i kark, — twarz prawie zupełnie odsłonięta, oprócz conajwyżej oczu i nosa. Przy małych kapelusikach sztywna, odstająca woalka spełnia zadanie czysto dekoratywne.

SREBRNE LISY

Stają się one ulubionem, najmodniejszem futrem „letniem". Robi się z nich „cape" krótsze lub dłuższe, — długie peleryny sięgające poza biodra, a nawet futrzane bolerka o bufiastych rękawach.

Co więcej: przy letnich rękawiczkach z białej piki, — sztylpy ze srebrnych lisów, — to „ostatni krzyk" mody paryskiej.

PARASOLKI

I tutaj moda pozwala sobie na rozmaite dziwactwa. A więc do sukien przedpołudniowych, na wycieczki — parasolki o krótkich rączkach, zrobione z materjałów w kolorowe pasy.

Na popołudnie parasolki bardzo fantazyjne, z riuszkami, falbankami, o zupełnie długich rączkach.

RĘKAWICZKI

Zasadniczo nie mamy żadnych większych zmian do zanotowania. Mankiety nieco węższe. Mniej ozdób. Najmodniejsze są w kolorach żółtych, a to musztardowym i koloru złocistego miodu.

Do ciemnych sukien i kostjumów najodpowiedniejsze jednak będą zawsze rękawiczki glacé białe lub jasnopopielate. Do barwnych materjałów imprimé — czarne lub ciemno - niebieskie.

SZALIKI

Do kostjumów sportowych szalik wełniany, związany pod szyją. Do popołudniowych sukien szaliki z tafty lub aksamitu, podszytego jedwabiem. Kolory jasne, żywe: czerwone, zielone, pomarańczowe, błękitne.

Do sukien trykotowych — apaszki z jedwabiu w desenie, zawiązane pod szyją w zwykły węzeł.

KWIATY

Pełno ich wszędzie, począwszy od kapeluszy. Zastępują klamry i guziki przy paskach. Nosi się je w butonierkach żakietów, przyczem specjalnie modne są pęczki aksamitnych fiołków, przy żakietach jasnych.

Do sukien popołudniowych — nadnaturalnej wielkości, fantastyczne goździki, tulipany, róże, lilje nawet. Do strojniejszych sukien wieczorowych przypięte w pasie całe wiązanki.

Widzi się kwiaty, zdobiące we formie girlandy dekolt, — widzi się nawet całe wianuszki na głowie, w stylu Boticellego.

A cóż dopiero mówić o tej prawdziwej orgji kwiatów na materjałach imprimé! Moda wiosenna stoi pod znakiem kwiatów.

KOMBINACJE BARW

Przeważają zdecydowanie jasne, żywe kolory, — przyczem moda pozwala na bardzo śmiałe kombinacje. Najpopularniejszą jest kombinacja czerwieni z kolorem lila, zieleni z czerwonem, ciemnego błękitu z różowym. Ładnie też wyglądają kombinacje popielatego z ceglastym, piaskowego z pomarańczowym i bronzowego z błękitnym.

TOREBKI

Zmienił się ich format i rozmiary. Torebki są naogół większe, prostokątne, dość wysokie; inne mają kształt woreczka. Zamknięcia niklowane. Znikają pomału torebki robione z tego samego materjału co kostjum lub suknia, — jako niepraktyczne, mało trwałe i nie dające się zastosować, do każdego stroju.

Dziś torebki są przeważnie skórkowe, — ale ze skóry wytłaczanej w rozmaite oryginalne desenie, dostosowane do najmodniejszych deseni materjałów.



Kapelusik z białego pikowanego jedwabiu z szeroką czarną woalką.



Modne sukienki popołudniowe

Podajemy poniżej modele trzech skromnych a eleganckich sukienek z jerseyu.

Pierwsza z lewej, jasno błękitna, kołnierzyk i manszety białe płócienne, pasek skórzany lakierowany. Spódniczka rozcięta z przodu i po bokach.

Następny model — sukienka bronzowa z materjału prążkowanego. Żakiecik 3/4 długości z tegoż materjału. Guziki skórzane.

Wreszcie ciemna sukienka z żakietem 3/4 długości, zapiętym pod szyją na kokardę z tego samego materjału. Oryginalny jest krój bluzki.



Poradnik dla gosposi

SERNIK NA KRUCHYM SPODZIE

Proporcja na ciasto: 30 dkg. mąki pszennej, 20 dkg. masła, 8 dkg. cukru pudru, 4 żółtka ugotowane na twardo, szczypta soli.

Proporcja na masę serową: 20 dkg. masła deserowego, 20 dkg. cukru pudru, 12 jajek, 40 dkg. doskonale osączonego twarogu świeżego, skórka pomarańczowa osmażana, wanilja, 2 dkg. gorzkich migdałów, 10 dkg. rodzynków sułtanek, 2 łyżki mąki kartoflanej.

Odpiec kruchy spód czworokątny, nie zdejmować go z blachy, a gdy przestygnie, nałożyć masę serową, formując równą, wysoką warstwą. Przykryć białym papierem posmarowanym masłem, wstawić do pieca na pół godziny.



Gustowny kostjum tailleur z wełny koloru „beige". Krawatka, manszety, pasek, rękawiczki i torebka w kolorze bronzowym.